

Kwestia krymska

Przyszłość Krymu nieoczekiwanie stała się kolejnym powodem zadrażnienia w stosunkach polsko-ukraińskich. A to skłania do namysłu nad aktualnym stanem kwestii krymskiej, w obliczu coraz częściej wyrażanych w Kijowie i w świecie prognoz o jakimś (choć nikt nie wie jakim) zakończeniu rujnującej dla państwa ukraińskiego wojny.

Od 2004 roku, z inicjatywy ówczesnych prezydentów Kwaśniewskiego i Kuczmy, rok w rok odbywa się konferencja YES (*Yalta European Strategy*), poświęcona sprawie, którą w tamtych czasach nazywano „europejskimi aspiracjami Ukrainy”. Nietrudno zgadnąć, że najpierw wszystko działo się właśnie w Jałcie, a od czasu aneksji Krymu impreza przeniosła się do Kijowa. No i na tegorocznej konferencji YES wystąpił szef polskiej dyplomacji, który wraz z innymi zastanawiał się nad perspektywami pokoju. Kilka zdań, jakie wypowiedział Radosław Sikorski na temat Krymu, wywołało nie tylko uroczysty protest ukraińskiego MSZ, ale i pryncypialne potępienie ze strony liderów Tatarów krymskich. Potem rzecznik polskiego MSZ tłumaczył, że to wszystko w gruncie rzeczy jakies *qui pro quo*, ale incydent pozostawił kolejny osad na warszawsko-kijowskiej polityce. Nie mówiąc już o tym, że w Polsce stał się pretekstem dla tezy, jakoby szef polskiej dyplomacji to był...nowy Kim Philby, czyli zakonspirowany moskiewski szpieg. Niestety, klimat polskiego życia publicznego umożliwia dziś publikację każdego nonsensu, byle tylko uderzał w znienawidzonego wroga politycznego.

Jeśli wierzyć ukraińskiej agencji Interfax (a nie ma powodu by tu nie wierzyć), to w debacie na konferencji YES Sikorski przeprowadził takie mniej więcej rozumowanie. Otóż Krym jest dla Moskwy symbolem jej znaczenia jako mocarstwa, zaś dla Kijowa – jego ukraińskość to znak suwerenności i nienaruszalności granic. Zatem bez jakiegoś, choćby chwiejnego i tymczasowego kompromisu w kwestii krymskiej żadne porozumienie pokojowe nie zostanie zawarte. Od 2014 roku stacjonują tam duże siły moskiewskie. Więc sposobem na ich usunięcie byłaby demilitaryzacja półwyspu, która mogłaby się dokonać przez uczynienie zeń na dłuższy czas (Sikorski mówił o 20 latach) terytorium mandatowego ONZ, z ewentualnością daleko odłożonego w czasie referendum. I właśnie samo wypowiedzenie w dyskusji owej idei „terytorium mandatowego” wzbudziło protesty ukraińskiej dyplomacji, oburzenie Tatarów, a w części prawicowej Polski (co tu dużo mówić, generalnie nie nazbyt życzliwej dzisiejszej Ukrainie) sugestie, że minister jest być może rosyjskim szpiegiem.

Piotr Skwieciński „Putinizm ewoluował” (wywiad)

Historia najnowsza często bywa „*magistra vitae*”, dlatego warto pamiętać okoliczności, w jakich Krym przeszedł w 2014 roku pod panowanie moskiewskie. Jeszcze rok wcześniej, kiedy w Kijowie zaczynał się pokojowy Majdan, demokratyczny parlament Autonomii Krymskiej (stworzony z aprobatą Kijowa) uznał kijowski protest za „bezprawie i anarchię”, zapowiadając, że na Krymie nie uzna się żadnego porozumienia zawartego z prozachodnimi, a więc antyrosyjskimi przywódcami Majdanu. A już 27 lutego, zaraz po lutowej masakrze i ucieczce Janukowycza, bojówki promoskiewskiej samoobrony wkroczyły do krymskiego parlamentu, dając sygnał do praktycznie bezkonfliktowej zmiany rządu Autonomii i powołania na

urząd premiera rosyjskiego nacjonalisty (a skądinąd także reketiera z lat 90.) Siergieja Aksjonowa. Dzień później zaczęło się militarne przejmowanie Krymu przez Moskali, które poszło gładko, niemal bez wystrzału. Przysięga na wierność „ludowi krymskiemu” (czyli *de facto* Moskwie) złożona przez głównodowodzącego floty ukraińskiej i przejście owej floty zakończyło faktyczny proces zmiany suwerena półwyspu. Potem już były tylko zarządzane przez Putina symboliczne akty inkorporacyjne, które miały dać Moskalom poczucie mocarstwowej dumy.

Sam pisałem wtedy (w połowie marca 2014 roku), że Krym musiał odpaść od Ukrainy, i to samo muszę powtórzyć dziś, po upływie dekady. Odkąd w Kijowie zaczęła zwyciężać niepodległościowa, prozachodnia, czyli antyrosyjska rewolucja było jasne, że secesja półwyspu będzie ubocznym skutkiem tego zwycięstwa. Pamiętam dobrze rekomendację, jaką w finale Majdanu przedstawił polski PISM, sugerując, iż secesja Krymu leży w interesie niepodległości Ukrainy, albowiem „mogłaby umożliwić zmianę władzy w Kijowie”. Czyli w Warszawie również traktowano Krym jako balast, utrudniający Ukrainie prowadzenie suwerennej polityki państwowej. Co ciekawe, nie inaczej myślano wtedy w przywództwie Majdanu i w pierwszym rewolucyjnym rządzie Arsenija Jaceniuka, który otwarcie deklarował, iż „dodatkową autonomię” dla Krymu jest gotów negocjować nie tylko z władzami w Symferopolu, ale i z Moskwą. W Kijowie przecież pamiętano, że w roku 1992, zaraz po rozwiązaniu ZSSR, ludność Krymu wybrała swój pierwszy parlament, który natychmiast uchwalił konstytucję przewidującą obywatelstwo krymskie i krymskie siły zbrojne. A kompromis z Kijowem, po kilku latach napięć, okazał się możliwy jedynie dlatego, że Ukraina nie została jednak wtedy państwem niepodległym „na serio”, zaś Moskale mogli być pewni bezpieczeństwa swoich interesów i wpływów. Nawiasem mówiąc, po to w ogóle Krym

znalazł się niegdyś z woli Chruszczowa w granicach sowieckiej Ukrainy, aby pełnić w niej dywersyjną rolę rosyjskiej piątej kolumny. Inaczej cały tamten „akt przekazania” z lutego 1954 roku nie miałby przecież żadnego politycznego sensu.

W tej zasadniczej materii nic się w ciągu ostatniej dekady nie zmieniło. A to znaczy, że kwestia krymska ma dziś podwójny wymiar. Pierwszy ten (co oczywiste), że Ukraina nie ma sposobu na odzyskanie suwerenności nad półwyspem, gdyż to mogłoby nastąpić albo w sytuacji jakiejś kolejnej rosyjskiej wielkiej smuty, albo w wyniku zbrojnej operacji podjętej przez Amerykanów. Ani jedno, ani drugie nie ma dziś nawet pozorów realności. Wojna bardzo umocniła państwowość rosyjską, definitywnie kończąc trwający przeszło trzy dekady czas liberalnych swobód, a zarazem erozji państwa, zaczynającej się od Gorbaczowa. Zaś w amerykańskiej elicie politycznej dominuje paniczna obawa przed zbrojnym konfliktem z Moskwą, tak po lewej, jak i po prawej stronie tamtejszej sceny. Ale jako że zawsze warto mieć w tyle głowy, iż w historii to, co dziś wygląda na niemożliwe, jutro może nabrać całkiem realnych kształtów, nie należy lekceważyć drugiego, mniej oczywistego wymiaru kwestii krymskiej. Otóż gdyby nawet jakiś cud przywrócił suwerenność Kijowa nad Krymem, to mogłaby ona zostać utrzymana *a la longue* jedynie przemocą, przy zawieszeniu instytucji demokratycznych i liberalnych swobód. Zwłaszcza po zmianach ludnościowych, jakie Moskwa celowo przeprowadza na półwyspie, m.in. osiedlając tam rosyjskie rodziny wojskowe. Oczywiście cała ta argumentacja opiera się na optymistycznym założeniu, że także po zakończeniu wojny Kijów utrzyma odzyskaną w 2014 roku rzeczywistą suwerenność względem Moskwy. W przeciwnym bowiem razie, wszystkie te rozważania tracą jakikolwiek sens.

Jan Rokita w felietonie „Światło arki” o pontyfikacie Leona XIV

Czy zatem zasadna jest logika Sikorskiego, rysującego scenariusz demilitaryzacji Krymu i uczynienia zeń terytorium mandatowego ONZ, jako sposobu na przełamanie impasu w kwestii krymskiej? Niestety, nie jest zasadna. Skoro smuty rosyjskiej nie będzie, a Ameryka jak ognia chce uniknąć nowoczesnej powtórki z dawnej wojny krymskiej – to też Moskwa nie ma i mieć nie będzie żadnych powodów, aby dobrowolnie ustąpić militarnie z Krymu. Spekulacje polskiego ministra są więc wyrazem niczego więcej, jak tylko nadmiaru pragnienia „pokrzepienia serc” Ukraińców. A jeśli w ogóle w dającej się przewidzieć przyszłości na wschodzie dojdzie do rozejmu, to tylko wedle przenicowanej już analitycznie na wszystkie strony „reguły koreańskiej”, wedle której każdy zostaje tam, gdzie dzisiaj stoi na linii frontu. Paradoksalnie – choć Sikorski optymistycznie stara się „krzepić serca” Ukraińców, to Kijów protestuje. Oczywiście nie z powodu samej rzeczy, o której mówi polski minister, bo w ekipie Zeleńskiego świetnie rozumieją oba rzeczywiste wymiary kwestii krymskiej. Ale wyłącznie z powodu słów. Kijów od dawna chce wymusić, aby nikt inny, poza nim samym, nie przypisywał sobie prawa mówienia o jakichkolwiek praktycznych sposobach na zakończenie wojny. Tylko wtedy powstaje pytanie: to o czym w ogóle rozmawiać podczas kolejnych organizowanych przez Ukraińców spektakularnych narad i konferencji na temat przywrócenia pokoju na wschodzie Europy?

Jan Rokita